Nelson S. Bond

Lancelot Biggs gotuje piratowi

(Lancelot Biggs Cooks a Pirate)

Fantastic Adventures, February 1940
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the short story "Lancelot Biggs Cooks a Pirate" by Nelson S. Bond.
This etext was produced from Fantastic Adventures, February 1940. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Cały kłopot rozpoczął się od Slopsa. Rozumiecie, Slops nie był tak po prostu *kiepskim* kucharzem. Właściwszym byłoby powiedzieć, że on w ogóle nie był kucharzem. Cechowało go coś, co można by nazwać „kompleksem tapioki”. Polegał on na tym, że tapioka była na śniadanie, tapioka była na obiad, tapioka była na kolację. Codziennie. Tapioka gotowana, tapioka pieczona, a nawet tapioka smażona.…

Brrr! Kiedy skacze się na gravach dwa razy w miesiącu, na lugrze krążącym między Ziemią i Wenus, nie można wegetować przez cały czas na diecie z ta… z tego świństwa.

W każdym razie, w końcu było to już za dużo, nawet dla takiego starego kosmicznego wyjadacza o żelaznym żołądku, jak kapitan Hanson. Tak więc, kiedy zawinęliśmy do portu kosmicznego w Sun City, stary oznajmił stanowczo:

— Wywalam cię, Slops. I rozumiem przez to, że cię naprawdę wywalam!

I wykopał naszego (domniemanego) szefa kuchni z *Saturna*, razem z jego ubraniami, jego zaległymi zarobkami, jego organkami i jego ta… wiecie czym.

Co postawiło nas w niemal krańcowo trudnej sytuacji, ponieważ okazało się, że w całym Sun City nie było nawet jednego kucharza z doświadczeniem na statkach kosmicznych. Podczas gdy *Saturn* pobierał swój ładunek na Ziemię, w większości pepsynę i artykuły medyczne, do tego jedna czy dwie ładownie pełne *mekel* i *clab*, szef stawał na głowie, żeby wykopać spod ziemi jakiegoś fachmana od żarcia. Ale bezskutecznie.

Godzinę przez zaplanowanym startem, przyczłapał do mojej kabiny radiowej. Klapnął w najwygodniejszym fotelu i zaczął drapać się nerwowo po swej siwej czuprynie.

— Niech to diabli, Sparks — poskarżył się. — Myślałem, że dobrze robię, kiedy zwalniałem Slopsa, ale…

— Dobrze pan zrobił — poparłem go. — Wywalając ten zawszony łeb ze statku, uratował pan życie czternastu osobom. Reszcie załogi. Krążyły już plany albo buntu, albo morderstwa, ludziom było wszystko jedno, byle nie musieli jeść kolejnej porcji tej cholernej paćki.

— Ale — mówił dalej z troską w głosie, — za niecałą godzinę stawiamy żagle i lecimy na Ziemię. A nie mamy kucharza. Co, na przestworza niebieskie, mamy teraz zrobić?

W trakcie słów kapitana, wszedł do środka nasz pierwszy oficer, Lancelot Biggs. Teraz zaoferował się, usłużnie:

— Mogę poprosić Slopsa żeby wrócił, jeśli pan sobie tego życzy, panie kapitanie. Widziałem go w Palace Bar…

— *Nie*! — wrzasnęliśmy stary i ja zgodnym chórem.

Biggs wyglądał na urażonego. Jego sterczące jabłko Adama podskakiwało mu w gardle, jak nieprzełknięta pomarańcza. Zaczął się bronić:

— No cóż, pomimo wszystko, tapioka jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Zawiera wartościowe składniki odżywcze, które…

— Niech pan się zamknie! — zawył kapitan Hanson.

Nie był w nastroju, aby przyjmować porady od kogokolwiek, a już szczególnie od Lancelota Biggsa. Być może powodem tego było to, że nasza ostatnia „podróż transmutacyjna”, w trakcie której próbowaliśmy zmienić ołowiane pojemniki w platynowe, wystawiając je na działanie promieniowania kosmicznego, zakończyła się fiaskiem. Korporacja wezwała za to kapitana na dywanik, i stary był trochę przeczulony na punkcie pierwszego oficera, ponieważ początkowo cała sprawa była pomysłem Biggsa. „Zamorduję każdego, kto choćby wspomni o tym… o tej sprawie!”

Pan Biggs odparł skrzywdzonym tonem.

— Ja tylko próbowałem być pomocny.

— Jest pan równie pomocny — oświadczył mu ironicznie stary, — jak piąte koło u wozu. A teraz, wynoś mi się pan stąd! Jazda! Wynocha!

Nasz chudy pierwszy oficer odwrócił się i zaczął wychodzić z kabiny. Ale wtedy, nagle…

— Proszę poczekać! — krzyknął za nim kapitan Hanson. — A dokąd to pan się wybiera, panie Biggs?

Biggs przełknął ślinę.

— Przecież… przecież powiedział mi pan, żebym…

— Proszę zapomnieć, co powiedziałem wcześniej! Niech pan robi to, co mówię teraz! Chyba znalazłem rozwiązanie. Panie Biggs, ta pańska mózgownica wydaje się być wypełniona różnorodną wiedzą. Czy może jakimś przypadkiem, nie wie pan czegoś o sztuce gotowania?

— Kto? — spytał Biggs. — Ja? No cóż, nie, panie kapitanie. Ale nie wydaje mi się, żeby to było jakoś szczególnie trudne. Pomimo wszystko, gotowanie opiera na elementarnych procesach chemicznych. Poprzez wystawienie pewnych substancji organicznych na działanie tlenku wodoru, w odpowiednich warunkach termostatycznych…

Kapitanowi Hansonowi opadła szczęka. Wytrzeszczył na mnie oczy.

— O…o czym on gada, Sparks?

— Chodzi mu o to — przetłumaczyłem, — że według niego gotowanie jest łatwe. Wszystko co trzeba, to woda, ciepło i produkty żywnościowe.

— Och! — Stary uśmiechnął się złowieszczo. — W takim razie, sprawa jest rozwiązana. Panie Biggs, właśnie zyskał pan sobie nowe prywatne biuro i nowy uniform. Obie te rzeczy znajdzie pan pod wszystkimi pokładami, trzecie drzwi po pańskiej prawej ręce.

Tym razem przyszła kolej na Biggsa, na zszokowany wygląd. Jego stercząca krtań, wykonała Immelmanna w tył.

— Słucham? Ale, ja nie jestem kucharzem, panie kapitanie. Jestem pańskim pierwszym oficerem!

— Pan był moim pierwszym oficerem — chłodno poprawił go stary — jeszcze parę chwil temu. Regulamin IPS mówi, że „do decyzji kapitana

należy powierzanie każdemu marynarzowi lub oficerowi, dowolnych obowiązków w sytuacjach awaryjnych". To jest sytuacja awaryjna. A poza tym, dosłownie przed chwilą oświadczył pan, że gotowanie jest po prostu kwestią wystawienie pewnych jakichś-tam-substancji na działanie czegoś-tam-innego. A więc… — Zatarł swoje włochate łapska, w geście kończącym dyskusję. — To wszystko. Do kuchni, panie Biggs!

Stary oczywiście miał rację. Miał takie prawo. Ale najbardziej zabawną częścią tej całej sprawy okazało się to, że zmuszony do podporządkowania się, Lancelot Biggs, zrobił to co mu polecono!

Pierwszym posiłkiem był obiad, serwowany w południe, czasu ziemskiego. Zszedłem do mesy, zastanawiając się co się stanie i spodziewając się najgorszego. Czekał mnie największy szok w życiu, a sytuacje wstrząsowe nie są bynajmniej jakąś nieznaczącą częścią życia operatora radia na lugrze kosmicznym.

Pan Lancelot Biggs wyczarował prawdziwą ucztę! Dostaliśmy duszonego kurczaka w śmietanie, gorące ciastka, kandyzowane słodkie ziemniaki, na przystawkę z duszonymi *clab*, placek z rodzynkami w kreolskim stylu, oraz najlepszą cholerną kawę, jaką kiedykolwiek podano na starym rozklekotanym *Saturnie*.

Co sobie pomyśleli inni ludzie z załogi, nie miałem pojęcia. Żaden z nich nie odzywał się ani słowem. Nawet najwięksi pyskacze, byli tak zajęci napychaniem sobie gęby żarciem, że konwersacja zdechła, jak śledź na Marsie. Ale kiedy rozepchałem sobie pas do ostatniej dziurki duszonym kurczakiem, powlokłem się ociężale do kuchni i spotkałem z panem Biggsem.

— Panie Biggs — stwierdziłem oskarżycielskim tonem — naprawdę trzymał pan karty przy orderach! Dlaczego nie powiedział pan nam wcześniej, że potrafi pan gotować takie posiłki?

Zaszurał zmieszany nogą. Odparł:

— Czy obiad był w porządku, Sparks?

— W porządku? Był wspaniały! Nie miałem takiej wyżerki od czasu kiedy byłem dzieckiem.

Wyglądał jakby odetchnął z ulgą.

— Bardzo się cieszę. Ponieważ, widzisz, to był pierwszy posiłek, jaki przygotowałem w życiu.

— To był pierwszy… *co*!

— Mmm-hmm! Ale tutaj w kuchni jest mnóstwo książek kucharskich. A ja pomyślałem sobie, że jeśli już muszę to robić, to postaram się zrobić to jak najlepiej… — Uśmiechnął się do mnie nieśmiało. Od czasu do czasu zastanawiałem się trochę, czy ktokolwiek z nas rozumie, Lancelota Biggsa, tego dziwnego, patykowatego geniusza. To była właśnie jedna z takich chwil. — O…okazało się, że to jest całkiem interesujące, Sparks, muszę ci się przyznać. To dokładnie tak, jak powiedziałem kapitanowi Hansonowi – po prostu kwestia elementarnej chemii. Garnki i patelnie są probówkami, piec to ogromny palnik Bunsena.

Stwierdziłem z podziwem.

— Muszę panu przyznać jedną rzecz, panie Biggs. Wierzy pan, że należy trzymać się teorii, co nie?

— Ależ oczywiście. „Najpierw trzeba stworzyć teorię”; to wielki sekret sukcesu każdego przedsięwzięcia. — Wyglądał na zadowolonego i lekko rozemocjonowanego. — Będziemy mieli dobrą podróż powrotną, Sparks. Tu jest mnóstwo jedzenia, z którym można sobie poeksperymentować. A w ładowniach…

W tej właśnie chwili usłyszałem swój numer wybzykiwany przez głośniki systemu komunikacji wewnętrznej. Wszedłem do systemu i zawołałem:

— Tu mówi Sparks. Co się dzieje?

— Sparks? — To był mój zmiennik, wzywający mnie z kabiny radiowej. — Lepiej chodź tu na górę, i to szybko. Komunikat z Sun City, i jak mi się wydaje to złe wieści.

— Zaraz będę u ciebie — krzyknąłem. Rzuciłem Biggsowi krótkie „Na razie!” i pomknąłem na górę po drabince sznurowej do swojej wieżyczki. Był tam mój zmiennik, razem z kapitanem Hansonem i jego zastępcą, porucznikiem Toddem. Cała trójka wyglądała trochę ponuro, trochę groźnie i bardziej niż trochę na wystraszonych. Mój zmiennik wcisnął mi pasek z wiadomością, do ręki. To był zaszyfrowany przekaz z portu kosmicznego Sun City. Znałem ten kod równie dobrze jak znałem język angielski czy uniwersalny, a więc odczytałem go na głos.

„HANSON, DOWÓDCA IPS SATURN, W DRODZE Z WENUS NA ZIEMIĘ. NATYCHMIAST ZAWRACAĆ ABY DOŁĄCZYĆ DO KONWOJU. DONIESIONO O OBECNOŚCI PIRATA HAKE’A NA WSPÓŁRZĘDNYCH TRZY PIĘTNAŚCIE PLUS DZIEWIĘĆ ZERO DZIEWIĘĆ NA WASZEJ TRAJEKTORII LOTU.” Podpisana była „Allonby, Komendant RKBK”.

Gapiłem się na kapitana Hansona, zastanawiając się czy moja twarz była taka blada, jak powinna przy ciasnym węźle w żołądku. Stwierdziłem:

— Hake! Runt Hake!

Hanson dorzucił:

— Tak, ale to jeszcze nie są najgorsze wiadomości, Sparks. Proszę mu powiedzieć, panie Todd.

Todd zwilżył wargi i wykrztusił:

— Jesteśmy… jesteśmy w poważnych kłopotach, Sparks. Dwadzieścia minut temu skończyliśmy maksymalnie przyśpieszać i wyłączyliśmy silniki, żeby dalej lecieć po zajętej orbicie. A ponieważ mieliśmy – czy też raczej myśleliśmy, że mamy – przed sobą dziewięć dni lotu w bezwładności, powiedziałem głównemu inżynierowi Garrity’emu, że może część z nich rozmontować. Nie mamy hipatomika trzy.

To ciągle niczego nie wyjaśniało. Powiedziałem:

— A więc, rozebrał go na części. I co z tego? Przecież może poskładać go z powrotem, co nie?

— Nie. Stwierdziliśmy, że obudowa jest zużyta, stopił ją do ponownego odlewu. Nie… nie damy rady jej odtworzyć przez co najmniej dwa dni!

Na potrzeby nowicjuszy prosto z Ziemi, którzy nie rozumieją *lingo*, pozwólcie że powtórzę to maksymalnie prostymi słowami. Byliśmy w cholernych kłopotach! Hipatomiki to silniki, które poruszają statkiem kosmicznym. W tym przypadku jeden z nich wykazywał oznaki wadliwego działania. Kiedy statek leciał przez kosmos „lotem bezwładnym", żeby tak to określić, inżynierowie rozmontowali źle działający silnik oraz stwierdzili, że jego obudowa wymaga odlania na nawo, i stopili ją. Tak jak powiedział Todd, zajmie to dwa dni – prawdopodobnie nawet więcej – wykonanie ponownego odlewu, zmontowanie z powrotem hip-a, i dopiero wtedy będziemy mogli włączyć napęd.

Jeszcze gorsza była wiadomość o Hake'u! Runcie Hake'u. Na szerokich przestrzeniach między planetami grasują piraci i piraci. Niektórzy z nich są swoimi ludźmi, jeśli jakiegokolwiek przestępcę można nazwać „swoim człowiekiem". Jak Lark O'Day, na przykład, ten wesoły, uśmiechnięty bandyta, który zawsze dawał kapitanom lugrów podpisany kwit na skradzione ładunki. I który kiedyś puścił wolno frachtowca-trampa, kiedy kapitan wyznał mu, że włożył w ładunek oszczędności całego życia. Który innym razem zatrzymał pasażerski superliniowiec, aby przeprowadzić szybką akcję, skradzenia pocałunku pewnej uroczej pasażerce, świeżo koronowanej „Miss Universe".

Ale inni byli skunksami, podłymi psami i… no cóż wymienić tu można jeszcze wiele innych naprawdę paskudnych stworzeń, które przychodzą na myśl. A potem należy pomnożyć to przez dziesięć, i mamy Runta Hake'a.

Runt Hake był zabójcą. Pozostałością z dawnych, niegodziwych czasów, kiedy główną myślą ludzi było zabijanie, wojna i przemoc. Został piratem nie tyle z powodu wartości ładunków, które mógł zrabować, ale dlatego że lubił walkę. Miał do tego w sobie jakąś sadystyczną żyłkę. Jego wyobrażenie dobrej, wspaniałej zabawy, polegało na abordażu frachtowca – takiego jak *Saturn* – zabraniu z ładunku tego co mu było potrzebne i wysadzenia dziury w kadłubie, powodującej powolny wyciek powietrza.

Po – o czym należy wspomnieć – zabraniu wszystkich szalup i skafandrów kosmicznych, swym nieszczęsnym ofiarom. Kiedyś, na asteroidzie Saragossa, widziałem statek, który został przedziurawiony przez rzeźników Runta Hake'a. Jego załoga ciągle była na pokładzie. Ale już nie jako możliwe do rozpoznania istoty ludzkie. Surowe, zamrożone ochłapy ciała, rozerwanego przez ciśnienie.

Och, tak. Ten Runt Hake, to był kapitalny gość. A teraz, sparaliżowani i bezradni dryfowaliśmy dokładnie po trajektorii, na której na nas czekał.

Kapitan Hanson oznajmił ponuro.

— Oczywiście, nie możemy z tym zbyt wiele zrobić. Mamy jedno sześciomilimetrowe działko rotorowe na przedzie. Możemy mu z niego przyłożyć.

— I pozwolić żeby rozwalił nas na kawałki — wtrącił Todd — swoimi działami laserowymi. Nie, panie kapitanie, to nie ma sensu. Ale co z Ampie? Jeśli wystawimy naszego Ampie, może…

„Ampie" to ten dziwny, pochłaniający energię zwierzak z Wenus, którego niezwykły apetyt na energię elektryczną daje osłonę statkom

przechodzącym przez warstwy Heaviside'a różnych planet. To nie był tak kompletnie zły pomysł. Ale Hanson pokręcił głową.

— Nie, to nic nie da. Ampie nie wytrzyma trafienia promieniem cieplnym. Możemy zrobić tylko jedno. Wysłać wiadomość do ochrony konwoju, żeby przybyła tutaj jak najszybciej – i mieć nadzieję, że dotrze do nas zanim wpadniemy na Hake'a.

Taka była również i moja opinia. Odesłałem swojego zmiennika do diabła ze stanowiska i puściłem w ruch to całe wariactwo. I, daję wam słowo, wypełniłem sygnałami SOS cały eter, dodając do równości parę PDQ[1]. Odebrałem potwierdzenie od Sun City i posłałem im w odpowiedzi pośpieszne wyjaśnienie. Odesłali mi wiadomość, że krążownik konwojujący leci do nas z najwyższą prędkością, oraz żebyśmy się nie bali…

Ha! A co ja mogłem na to poradzić, że trzęsły mi się kolana?

Była jedna rzecz, co do której można było być pewnym, że Lancelot Biggs to zrobi. Chodzi tu, oczywiście – o wetknięcie nosa w niewłaściwej chwili. I właśnie dokładnie wtedy kiedy wykańczaliśmy resztki papierowych chusteczek do ocierania łez, drzwi stanęły otworem i któżby się w nich mógł pojawić, jeśli nie pan Biggs, pierwszy-oficer-na-zmywaku! Jego twarz, w przeciwieństwie do naszych, promieniowała radością i zachwytem. Na ustach miał uśmiech, rozciągający się od ucha do ucha i z powrotem. Zarechotał głośno:

— Hej, panie kapit…

— Proszę stąd wyjść! — wyjęczał kapitan Hanson. — Muszę pomyśleć.

— Ale, niech pan tylko popatrzy! — Biggs wyciągnął otwartą łapę. Spoczywała na niej malutka szara myszka. Położył ją przed sobą na podłodze. — Proszę popatrzeć, co znalazłem w Pojemniku Nr 4. Zachowuje się tak cholernie zabawnie…

— Proszę się stąd wynosić! — powtórzył stary, jeszcze bardziej ponuro. — Jeśli stracę przez pana cierpliwość…

Biggs powiedział „Zachowuje się zabawnie…" i, żeby nie skłamać, rzeczywiście tak było. Zwykle, jak wiecie, mysz jest najbardziej płochliwym z żyjących stworzeń. Jeśli umieści się ją w takim miejscu jak to, otoczoną przez gigantycznych ludzi, to zacznie uciekać panicznie w najciemniejszy kącik.

Ale ten mały głuptas, nie uciekał. Prawdę mówiąc, to myszka celowo ruszyła ku najbliżej stojącemu człowiekowi, akurat był nim Todd, i zaczęła obwąchiwać mu but! Tak jakby porucznik był jej starym dobrym znajomym! Pan Biggs ponownie zachichotał.

— Widzicie to? Panie kapitanie, wie pan dlaczego ona zachowuje się w ten sposób? Powiem panu. To przez…

— *Panie Biggs*! — Twarz starego była ogniście czerwona ze wściekłości. — Nie czas teraz na te nonsensy. Za kilka godzin, a niewykluczone nawet

---

[1] PDQ – Pretty Damned Quick (przyp. tłumacza).

że minut, możemy być martwi! A teraz, po raz ostatni, proszę, aby pan się stąd wyniósł!

Biggs, odrobinę oszołomiony, odparł „Tak jest, panie kapitanie!”. Zabrał swoje dziwnie zachowujące się stworzonko z miejsca, w którym przycisnęło miękki nosek do sznurowadła butów Todda, wsadził je do kieszeni i zaczął wycofywać się w stronę drzwi. Dochodząc do nich, rzucił mi błagalne spojrzenie. Skinąłem mu głową; a potem w chwili kiedy nikt nie zwracał na mnie uwagi, dołączyłem do niego na zewnątrz.

— O co chodzi, Sparks? — zaczął się dopytywać.

Wygarnąłem mu wszystko, z grubej rury. Miał prawo wiedzieć. Każdy człowiek ma prawo wiedzieć, kiedy nadciąga jego czas na to, by powiedzieć „do widzenia”.

— Ale proszę nie mówić niczego załodze — ostrzegłem go. — Stary zrobi to, kiedy uzna, że nadeszła właściwa chwila.

Oczy Biggsa zrobiły się wielkie i okrągłe.

— Runt Hake! Jezu, nic dziwnego, że stary był taki przybity. — Zapadł w jeden ze swych charakterystycznych dla siebie okresów milczenia. Potem nagle rzucił: — Hej!

— Hej, co?

— Mówią, że Hake cholernie lubi się popisywać. Zanim je przedziurawi, lubi na zdobytych statkach trzaskać z bicza, zamawiać na nich wspaniałe uczty, i tym podobne rzeczy, …

— No, i? — powiedziałem. — Myśli pan, że może udałoby się go jakoś otruć? Niech pan nie będzie głupi. Każe panu wcześniej spróbować wszystkiego, co mu pan poda.

— Zostawmy to. Nie jestem pewien, czy mój pomysł ma jakikolwiek sens – jeszcze nie! Ale czy masz może jakąś książkę o fizjochemii?

— W moim biurze.

— Świetnie. Znajdziesz ją dla mnie, co? Później ci wyjaśnię.

No cóż, przyniosłem mu tę książkę, a on wcisnął ją do kieszeni i zniknął udając się w stronę kambuza, poruszając się na swych szczudłach jak bocian. Teraz jednak nie miałem czasu na to, by naśmiewać się z fizycznych, czy umysłowych dziwactw Biggsa.

Dlatego, że moje uszy wychwyciły odgłosy, których bynajmniej nie chciały usłyszeć. Dźwięk zgrzytania metalu o metal w pobliżu włazu wejściowego. Walenie pancernej pięści w superstop, astmatyczne sapnięcie śluzy powietrznej, krzyk marynarza, zakończony zduszonym gulgotem…

Popędziłem z powrotem do kabiny radiowej.

— Panie kapitanie! — krzyknąłem. — Koło śluzy! Ktoś tam jest. To musi być…

I był. Runt Hake i jego piraci.

Nie myślcie sobie, że Runt Hake wyglądał, na zabójcę. To prawda, trzymał w ręku pistolet laserowy, kiedy się do nas zbliżał, poruszając się płynnie i lekko korytarzem. Sześciu ludzi za nim, także trzymało swą broń

ręczną uniesioną i w gotowości, podczas gdy kolejna szóstka rozeszła się innymi przejściami do maszynowni i wieżyczek sterujących. Ale kiedy Hake zbliżał się do nas, odrzucił do tyłu kwarcytowy hełm skafandra, i zobaczyłem, że włosy miał w kolorze jasnego złotego zboża, usta wygięte w czymś podobnym do miłego uśmiechu, zaś jego policzki były gładkie, delikatne, chłopięce.

Jego głos również brzmiał łagodnie. Oznajmił:

— Obiecuje pan nie stawiać oporu, panie kapitanie? To byłoby rozsądne posunięcie.

Kapitan Hanson odparł:

— Hake, poddaję swój statek i oddaję go w twoje władanie. Tylko nie rób krzywdy moim ludziom. To wszystko, o co proszę. Moi ludzie nie zasłużyli sobie…

— Ależ, panie kapitanie! — cienkie i małe brwi pirata, uniosły się lekko w łuk. — Chyba trochę przedwcześnie wygłasza pan swoje apele. Dopiero przed chwilą przybyliśmy. Pozostało tak wiele rzeczy do załatwienia zanim… ehmm… zaczniemy cieszyć się naszymi drobnymi przyjemnościami.

Kiedy wypowiadał te słowa, zrozumiałem dlaczego ludzie przeklinali imię Runta Hawke'a. Nie było tego widać na jego twarzy. Złote włosy, różowe policzki, delikatne usta – wszystko to skrywało i upiększało jego zepsute wnętrze. Prawdziwy Hake wyglądał mu z oczu. Te tańczące, błyszczące, świecące oczy, które jaśniały płomieniem zachwytu na samą myśl o tym, co miało się tu wydarzyć…

On był diabłem. Niewielkiego kalibru, może, ale bez wątpienia diabłem. Teraz już byłem pewien, że opowiadane o nim historie były w pełni prawdziwe; że po tym człowieku nie mogliśmy spodziewać się litości. Mógł się z nami przez chwilę zabawiać, igrając na koci sposób. Potem odleci. A my zostaniemy. Jak zniszczone zabawki, które widziałem na Saragossie.

Przemówił ponownie. Delikatnie, melodyjnie, tak jakby był raczej jakimś urzędnikiem w porcie przeładunkowym na Ziemi, a nie piratem kosmicznym taksującym swoją „zdobycz".

— Ładunek, panie kapitanie, oczywiście jest mój. Już za chwilę, moi ludzie zaczną go przesyłać na nasz statek, unoszący się koło waszego. Ale jest jeszcze parę innych rzeczy, które będziemy chcieli zrobić, podczas pobytu na pokładzie u was. Życie w kosmosie, przez całe miesiące bez przerwy, jest bardzo samotne. No i nie jadamy zbyt luksusowo. Macie pewnie, jak sądzę, nieźle wypełnioną spiżarnię? Dobre jedzenie, może trochę wina, żeby pogłaskać podniebienie?

Hanson spróbował ponownie.

— Mamy, Hake. I to wszystko będzie należało do ciebie, jeśli obiecasz mi, że nie skrzywdzisz moich ludzi. — Zawahał się. — Zabierz mnie ze sobą jako zakładnika, jeśli chcesz. To byłoby w porządku. Ale…

— Ależ nie, panie kapitanie. Coś takiego nigdy nie mogłoby się wydarzyć. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zostanie pan – ze swymi ludźmi. — I znowu w oczach Hake'a pojawiło się to małe, tańczące światełko. — Widzi pan, panie kapitanie, wielu ludzi zna moje nazwisko, i jak rozumiem, zyskałem sobie pewną reputację. Ale nikt, nigdy, nie widział mojej twarzy

– i potem przeżył. Byłoby to niefortunne, gdyby ktoś mógł mnie zidentyfikować, czyż nie?

Odwrócił się do swych podwładnych.

— Rozbroić ich — wskazał na nas niedbałym gestem. — A kiedy ładunek zostanie przetransferowany, niech nasi ludzie przybędą na kolację. Zjemy ją na pokładzie *Saturna*.

Wam, nowicjuszom z Ziemi, ta część wydaje się dziwna, co? To, że nie stawialiśmy żadnego oporu tej inwazji Hake'a? No cóż, nie mogę was za to winić. Ja również czytuję *Martian Tales* i *Spaceways Weekly*. Pisarze publikujący w tych magazynach chcieliby, abyście uwierzyli, że każdy kapitan frachtowca jest twardzielem dorównującym Johnowi Paulowi Jonesowi. Ale pomyślcie tylko. *Saturn* był niezdarną starą krową w porównaniu ze zwinnym, szybkim statkiem Hake'a. Hanson przyjął jedyną sensowną politykę. Uspokajać pirata, być dla niego miłym i mieć nadzieję, że uda się odwlec jego mordercze plany, aż do czasu kiedy dotrze do nas krążownik RKBK.

Jak dotąd, przez ponad dwie godziny, rozbrojeni i z ponurymi minami, siedzieliśmy i kręciliśmy młynki palcami, podczas gdy ludzie Hake'a, wykorzystując naszych marynarzy z załogi maszynowej pod strażą blasterów i rozsadzaczy, przenosili co bardziej wartościowe części przewożonego przez nas ładunku, na swój statek. Nie zabierali ze sobą ciężkich i wielkich rzeczy. Tylko niewielkie drobiazgi, które mogły potem zostać upłynnione na lewo, z kryjówki na jednej z asteroid o zwariowanej, niemożliwej do przewidzenia orbicie.

W międzyczasie, Hake dokonał przynajmniej jednego specjalnego wypadu. Na dół, do kambuza. Zabrał ze sobą Todda, starego i mnie, tak żeby przez cały czas mieć nas na oku. Na dole znalazł Lancelota Biggsa, spokojnie coś czytającego.

Hake odezwał się do niego, w ten swój miękki, mruczący sposób:

— Ty… ty jesteś kucharzem na tym statku?

Biggs odparł:

— Mmm-hmm.

— Masz zwracać się do mnie — zasugerował niewielki kryminalista — per „panie kapitanie". No dobrze, kuchto. Chcę, żebyś przygotował dla nas jedzenie. *Dobre* jedzenie. Świeże mięso i warzywa. Nie ma pan nawet pojęcia… — to ostatnie rzucił do Hansona — …jak bardzo mogą się znudzić koncentraty w puszkach.

Hanson tylko groźnie na niego popatrzył. Ale Biggs wyglądał na zmieszanego. Oznajmił:

— Będę… Jeśli życzy pan sobie dużego posiłku, będę musiał wyciągnąć produkty z ładowni. Ta kuchnia jest niewielka… — Rozejrzał się wokół siebie z bezradnością.

Hake skinął głową.

— Załatwione. Pamiętaj tylko, żeby nie przyszły ci do głowy jakieś średniowieczne… ehmmm… toksykologiczne pomysły. Przypominam sobie,

jak kiedyś szef kuchni ze *Spicy*, próbował czegoś w tym guście. Strasznie wrzeszczał… Nigdy tego nie zapomnę.

Założę, się że nie zapomni. Wesz jedna. Ale, miałem nadzieję, że Biggs zapamiętał co mu powiedziałem i zrozumiał, że mam rację. Nie będzie próbował żadnych głupich pomysłów z Runtem i jakoś z tego wybrnie.

Zdawał się rozumieć, dzięki Bogu. Obiecał, wytrzeszczając oczy:

— Postaram się najlepiej jak tylko potrafię… panie kapitanie. Oczywiście, to musi zająć trochę czasu.

— Mamy czas i możemy go poświęcić — zgodził się Hake. — Dobre jedzenie, tego właśnie potrzebujemy. A teraz, panowie…?

Skierował nas gestem z powrotem do kabiny we wieżyczce. Zaczęliśmy opuszczać kuchnię. Miałem przejść przez drzwi jako ostatni. Kiedy to robiłem, poczułem rękę na swoim boku. To Biggs wsuwał coś do mej kieszeni. Szepnął mi do ucha:

— Sparks… daj po kawałku każdemu z naszych ludzi. Powiedz im, żeby to zaczęli żuć!

Przez chwilę moje nadzieje, buchnęły wysokim płomieniem. Nie wiedziałem, jakie asy Biggs chował w swym rękawie, ale ośmielałem się marzyć, że wymyślił jakiś sposób pokonania niebezpieczeństwa piratów. Jednak kiedy w kilka minut później udało mi się zniknąć z oczu pilnujących i zerknąć, co mi wrzucił do kurtki, moje nadzieje zgasły równie nagle, jak się rozbudziły.

To była tylko pepsyna. Zwykła, normalna pepsyna, produkt uboczny rozciągających się na powierzchni Wenus rancz.

Miałem już niemal wywalić to badziewie w cholerę. Myślałem, że może zmartwienie, rozpacz spowodowały, że Biggsowi odbiła szajba. Potem jednak przemyślałem sprawę jeszcze raz. Pomimo wszystko, mógł mieć jakieś powody. A w obecnej sytuacji, każda szansa była warta wypróbowania…

I tak, powoli, zacząłem rozdzielać dookoła ten towar. Udało mi się przekazać połowę posiadanego zapasu Dougowi Enderby, stewardowi, wraz z instrukcją, aby puścił go po kryjomu dalej. Między pokładami spotkałem głównego inżyniera Garrity'ego, i dałem mu trochę, dla jego ludzi z maszynowni. Todd wziął również kawałek, dziwiąc się, niechętnie, ale wsadził go do ust, kiedy zasygnalizowałem mu, żeby to zrobił. Ja? No pewnie, też się poczęstowałem. Pomimo wszystko, to całkiem nieźle smakowało. A człowiek mógł równie dobrze napotkać swój los, ze smakiem czystości w ustach.

Jedynym z ludzi, któremu nie mogłem przekazać potajemnie jego kawałka, był kapitan Hanson. Runt Hake przez cały czas pilnował starego, jak oka w głowie. Prawdę mówiąc, nie spuszczał z oka żadnego z nas. Ten mały, morderczy skunks, nie przegapił najdrobniejszego szczegółu. Tuż przed podaniem kolacji, spowodował, że serce stanęło mi w piersi, pytając:

— Co ty tam tak żujesz, Sparks? Gumę?

W jednej chwili przeraził mnie i pozwolił odetchnąć z ulgą. Skinąłem głową:

— Taaa — stwierdziłem. Potem nie ośmieliłem się nie zapytać: — Chce pan kawałek?

Wzdrygnął się lekko.

— Barbarzyński zwyczaj. Nie znoszę gumy.

Boże, mieliśmy naprawdę szczęście!

Tak więc, jak już powiedziałem, Biggs zadzwonił na kolację i wszyscy zeszliśmy do mesy. Co za ironia losu! Znaleźliśmy się tutaj razem, dwudziestka uczciwych, ciężko pracujących marynarzy kosmicznych i podobna liczba piratów, siedząc przy jednym stole i jedząc ten sam posiłek.

Wariactwo? Pewnie, ale taki właśnie był Hake. Tak jak powiedział pan Biggs, pirat lubił się popisywać. Nie myślcie jednak, że podejmował on jakiekolwiek ryzyko. Byliśmy bezbronni, a jego ludzie chodzili obwieszeni bronią jak choinki. A co do towarzyskiego nastroju, był on kompletnie na pokaz! Na pozór wszyscy zbrataliśmy się przy biesiadnym stole, ale my ludzie z Saturna byliśmy tylko tuczeni na rzeź, która miała nastąpić później.

A jednak… no cóż, znacie ten stary kawał. „Skazani przynajmniej zjedzą coś solidnego”. I tak właśnie zrobiłem ja, tak samo również większość moich towarzyszy. Ponieważ pan Lancelot Kucharz zaprezentował po raz kolejny c.b.d.o., że gotowanie jest jednak niczym innym jak tylko stosowaną chemią.

Podano nam najpierw, tak żeby połechtać podniebienie, odrobinę chłodnego bulionu z lekkim sherry. Potem, ponętny paseczek pieczonego dorsza, podany z Moselle Erdener Treppchen, i żebyście widzieli, jak staremu poszła para z uszu! (Zachomikował to na swoją złotą rocznicę). A następnie kurczak sauté Florentine…

To były tylko preludia. Głównym punktem programu był comber z jagnięcia, któremu towarzyszył groszek w mięcie i ziemniaki Parisienne, podany razem z Pommard 1974. Na przystawkę sałatka Alma. Na deser było, jak powiedział mi później Biggs, Plombière a l’Havane Friandises (ananasy, banany, mrożony słodki sos custard i ani grama cholernej tapioki!)

Do tego podano Piper Heidesieck, ’65. Potem była mała czarna, a dalej likiery…

I w tym właśnie miejscu Runt Hake zakrzyknął stop.

— Trunki zabierzemy — oznajmił — na nasz statek. Nie chcemy przecież pijaństwa na pokładzie, kiedy… ehmmm… będziemy robili, to co teraz jest konieczne. Kapitanie Hanson?

Skinął wyraźnie głową w stronę pomieszczenia we wieżyczce. Wstałem również, podobnie Todd. Ku mojemu zaskoczeniu kiedy wchodziliśmy na górny pokład, do naszej grupy przyłączył się Biggs. Hake oświadczył z niechętnym żalem, którego nie zapomnę do końca życia.

— Panie kapitanie, cieszyliśmy się naszym bankietem, niesłychanie. Ale rozumie pan, że nie mogę pozwolić na to, aby ktokolwiek stanął na drodze mych kolejnych… ehmmm… obowiązków. A więc…

Hanson odparł kamiennym tonem

— Hake, czy da nam pan szalupę przed uszkodzeniem Saturna?

Hake skłamał:

— Panie kapitanie, planowałem dokładnie to zrobić. Ale nastąpił pewien bardzo niefortunny incydent… zdaje się, że paru moich ludzi wysadziło dziury we wszystkich pańskich szalupach. Oczywiście, jeśli mimo wszystko chciałby pan poszukać dla was szansy w uszkodzonej łodzi…?

Och ten Hake, on potrafił przyłożyć! Popatrzyłem na Todda i dostrzegłem, że w jego oczach odbija się ta sama myśl, która i mnie przyszła do głowy. To była nasza ostatnia szansa. Jeśli teraz nie dopadniemy Hake'a, potem będzie już za późno. Spiąłem się. Gdyby udało nam się schwytać herszta piratów, być może jego ludzie nie ośmielą się niczego zrobić, w obawie, żeby go nie zranić. A Hake, chociaż miał szybką rękę, może nie zdoła dorwać nas obu, zanim…

W tym momencie, ponownie zainterweniował Lancelot Biggs. Rzucił mi krótki, ostry rozkaz:

— Nie! Nie, Sparks!

A potem do Hake'a, spokojnie, niemal czule:

— Ależ, panie Hake… przecież to wszystko, to jedna wielka pomyłka, nieprawdaż? Te tępe, ohydne stare osły myślą, że pan im chce zrobić krzywdę! A przecież pan w ogóle nie ma takiego zamiaru. Czyż to nie starzy głupcy?

W odpowiedzi – czapki z głów, ludziska – w odpowiedzi delikatne usteczka Runta Hake'a, zaczęły się wykrzywiać do dołu! Tak, wykrzywiać! Zacisnęły się jak usta dziecka, oczy mu się zmarszczyły, a on sam zaczął beczeć!

— Zrobić im krzywdę? — skarżył się płaczliwie. — Ja, miałbym zrobić im krzywdę? Przecież nigdy bym czegoś takiego nie zrobił! Ja ich kocham! To moi najlepsi kumple.

Odrzucił od siebie pistolet laserowy, wyciągnął rękę i poklepał Biggsa po policzku!

Usłyszałem jak stojący koło mnie porucznik Todd wyszeptał ochryple:

— Wielcy bogowie Grecji, co się dzieje!

Ja sam przez moment zupełnie osłupiałem. Zachowałem jednak na tyle zimnej krwi, żeby schylić się i podnieść z podłogi pistolet Runta Hake'a, zanim ta szalona chwila przerwy nie minęła.

— Jemu odwaliło! — zapiszczałem. — Łap, go Todd! Panie Biggs, proszę ze mną, znajdziemy jego ludzi…

Ale Biggs oznajmił spokojnie.

— Wyluzuj, Sparks. Nie pali się. Widzisz?

Podszedł do ściany; włączył pstryknięciem płytę wizyjną, która pokazała wnętrze mesy. A tam, w miejscu gdzie jeszcze przed chwilą, dwudziestka piratów kosmicznych o zakazanych gębach trzymała straż nad naszą załogą, teraz nasi marynarze stali, gapiąc się ze zmieszanymi, niczego nierozumiejącymi twarzami, na dwudziestu ludzi, którzy wyglądali i zachowywali się jak gromada rozkosznych szczeniaczków!

Padali sobie w objęcia, klepali się nawzajem po ramionach i twarzach, szepcząc do siebie czułe słówka. To było idiotyczne. Więcej – to było żenujące! W jednym z kątów brodaty, jednooki bandzior kołysał któregoś ze swych kompanów na kolanie. Inny krzepki osiłek, tak wielki, że mógłby rozedrzeć człowieka na pół gołymi rękoma, bawił się ze swym kumplem w koci-łapci!

Przełknąłem ślinę, popatrzyłem jeszcze trochę i przełknąłem ponownie. Wykrztusiłem:

— Ale, co… co…

Nagle przerwał mi głos Biggsa:

— Sparks! Nie dałeś kapitanowi jego kawałka pepsyny!

— Nie miałem okazji. Ale jak…

I wtedy to zobaczyłem. Kapitan i Runt Hake siedzieli razem w jednym fotelu i szeptali do siebie po cichu czule, głaszcząc się pieszczotliwie nawzajem po włosach. Dokładnie wtedy kiedy na nich spojrzałem, stary nachylił się i poczęstował pirata długim, serdecznym całusem w czoło!

Na szczęście w tej samej chwili nadeszło tak bardzo potrzebne otrzeźwienie. System komunikacji głosowej obudził się z chrobotem do elektrycznego życia; obcesowy głos wytrzeszczał:

— Wzywam *Saturna*! *Saturn*, ahoj! Tu mówi krążownik RKBK *Iris*! Bądźcie w gotowości! Dobijemy do was za dwadzieścia minut…

Po tym, kiedy Runt Hake i jego piraci, ciągle bełkoczący jakieś niespójne czułe oracje, zostali zabrani na statek patrolowy i odtransportowani do oczekującego ich z wytęsknieniem więzienia na Wenus, urządziliśmy sobie pogaduchę w mojej kabinie radiowej. Byli tam Todd, główny inżynier Garrity, Lancelot Biggs i niżej podpisany. A do tego ciągle z zamglonymi oczyma i solidnie oszołomiony kapitan Hanson, który wydawał się tylko z najwyższym trudem powstrzymywać od wyznania nam, że jesteśmy jego „drogimi, kochanymi chłopcami" – jak to nam oznajmił już całkiem sporą liczbę razy, w czasie ostatniej mniej więcej godziny.

Nie mogłem jakoś tego wszystkiego rozwikłać. Dlatego od razu spytałem o to Biggsa.

— Ale, co to było, panie Biggs? Wszyscy wiemy, że czegoś im pan dosypał do jedzenia. Czegoś, przed czym zabezpieczyła nas pepsyna. Ale, czego? Przecież żaden narkotyk nie mógł spowodować, żeby ludzie zachowywali się w taki sposób.

Biggs wyszczerzył zęby w uśmiechu, a jego jabłko Adama przyjaźnie podskakiwało.

— Nie, to nie narkotyk. Ale związek chemiczny. Prolaktyna, dokładniej mówiąc. Jeśli sobie przypominacie, zacząłem wam mówić o tym, że przewozimy jej ładunek na Ziemię.

— Prolaktyna? — zdziwił się Todd. — A co to takiego?

— Hormon przysadki mózgowej; zarządza uczuciami człowieka. Prolaktyna jest hormonem odpowiedzialnym za całość zachowań związanych z miłością rodzicielską. Powoduje, że koguty wysiadują jajka, kocury dają mleko, a pozbawione mleka samice stają się normalne. Jest powszechnie znana jako kryształ „matczynej miłości".

— A my — powiedziałem — mieliśmy jej cały ładunek. Jednak ciągle nie rozumiem, dlaczego musieliśmy żuć tę pepsynę. I dlaczego nie wpadliśmy w to ciepłe mli-mli jak…

Rzuciłem spojrzeniem na starego, i natychmiast uciekłem z powrotem wzrokiem na bok. Patrzył na mnie z czułością.

— No cóż, rozumiecie — wyjaśnił Biggs, — prolaktyna jest czystym białkiem. A czyste białka nie rozpuszczają się w większości substancji, takich jak alkohol, woda, czy inne normalnie występujące w waszej diecie.

— Przygotowałem tę ucztę dla Hake'a i jego głupoli, obficie przyprawiając ją prolaktyną. Ale, jak to mi wcześniej wykazałeś, musiałem znaleźć jakiś sposób, aby ochronić przed działaniem tego hormonu naszych ludzi, co by również i ich pozbawiło zdrowego rozsądku. Rozwiązaniem była pepsyna. Pepsyna rozkłada białka na rozpuszczalne peptony. To dlatego właśnie jest powszechnie używana jako środek ułatwiający trawienie.

— Drgisłdkdzicikchmwas… — wymamrotał łagodnie kapitan.

— Co? — zacząłem się dopytywać. — Co on powiedział?

Biggs wyglądał na zmieszanego.

— Nie jestem pewien — stwierdził, — ale wydaje mi się, że to było: „Jesteście moimi drogimi słodkimi dzieciaczkami i kocham was bardzo". Eee… Sparks… może lepiej będzie jeśli wsadzimy go do łóżka, do czasu aż to się zużyje…

I tak to właśnie było. I może nie powinienem wam o tym wszystkim opowiadać; sam nie wiem. Bo stary, kiedy ozdrowiał ze swego zaklęcia „matczynej miłości", stał się raczej czuły na punkcie całej sprawy. A ja ciągle siedzę na radiu na *Saturnie*.

No cóż, w każdym bądź razie, teraz już wiecie. Ale jeśli kiedykolwiek piśniecie słowem kapitanowi Hansonowi, że wam o tym opowiedziałem, może się to dla mnie niedobrze skończyć. Niewykluczone, że będę musiał łapać pierwszy ekspres na Plutona i brać nogi za pas. Obaj, ja i Biggs. Nie ma zbyt wiele „matczynej miłości" w prawym haku kapitana Hansona!

KONIEC